

Polowanie na najgrubszą zwierzynę.

Rozmowa z Zenonem Kruczyńskim

Tvoja książka skupia się głównie na myślistwie i łowiectwie. Można odnieść jednak wrażenie, że jest to książka, w której rozliczasz się ze swoją przeszłością...

Zenon Kruczyński: Właściwie nie wiem, co to oznacza: „rozliczać się z przeszłością”. Być może masz na myśli to, że wtedy, gdy naprawdę zobaczyłem, co dzieje się w moim życiu, przeżywałem przez długi czas coś w rodzaju głębokiej żałoby, przygnębienia i smutku. Jako ludzie, wielu rzeczy nie robilibyśmy, gdybyśmy byli w stanie zobaczyć, co naprawdę robimy.

Książka pokazuje od wewnątrz świat samych myśliwych i ich los. Powstała jako wyraz mojej fundamentalnej niezgody na fakt, że w naszym ludzkim świecie możliwe jest zabijanie dla rekreacji, hobby, dla sportu myśliwskiego – jak to sami myśliwi nazywają. Dodatkowym, tragicznym aspektem jest to, że ludzkość usankcjonowała prawem tę makabryczną rozrywkę.



Fot. Piotr Morawski

Książka zbiera w jedną całość racje przeciwników współczesnego łowiectwa. Spojrzenie na współczesne myślistwo zostało w niej rozszerzone o aspekt etyczny, ekologiczny, religijny, duchowy i psychologiczny. Stało się to w rozmowach: z nauczycielem zen sensei Sunyą Kjolhede, znaną na świecie działaczką ekologiczną, dyrektorem Rainforest Information Centre w Lismore w Australii – Ruth Rosenhek, z psychologiem, znakomitym specjalistą w dziedzinie uzależnień – Anną Dodziuk, z żonami czynnych myśliwych – Małgorzatą Grabarczyk i Małgorzatą Szczygieł-Reutt, z lekarzem weterynarii pracującym od dwudziestu lat w swojej klinice w Sztokholmie – Bożeną Montwiłł, za zgodą Polskiego Związku Łowieckiego z Łowczym Województwem – Piotrem Ławrynowiczem oraz o „świecie mężczyzn” – z psychologiem Wojciechem Eichelbergerem.

Tvoja osobista przemiana jest wyjątkowa. W środowisku byłych kolegów-myśliwych zapewne jesteś postrzegany jako „nienormalny”. Czy uważasz, że książka „Farba znaczy krew” wywoła jakąś dyskusję w środowisku łowieckim?

Ta część moich byłych kolegów-myśliwych, z którymi znamy się od dawna, nie widzi we mnie hm..., dysfunkcji psychicznych. Gdy spotykamy się – rozmawiamy i zachowujemy się normalnie. Nie ma agresji we mnie ani w nich. Choć jakieś napięcie jednak występuje – temat polowania jest starannie omijany. Pojawia się skrępowanie. Jest takie zabawne powiedzenie: nie kantuj kanciarza. Moi byli koledzy i ja dobrze wiemy, czym jest polowanie. Ja jeszcze wiem, czym jest „niepolowanie”. Gdy poznało się coś na wskroś, nie budzi się w człowieku „święte oburzenie”. Lecz jakiś rodzaj podstawowego gniewu we mnie jest. To postawa niezgody na szeroko pojmowane zniszczenie – nie tylko na zabijanie leśnych i polnych zwierząt. Natomiast ta część myśliwych, która mnie całkowicie nie zna i komentuje w Internecie jakieś moje teksty prasowe, czasami uważa wręcz, że mnie w ogóle nie ma, że jestem wymyślony, co mnie bardzo rozbawia. Niektórzy z nich rzeczywiście obcesowo piszą, lecz nigdy nie odnoszą się do podstawowych, ważnych spraw. Raczej bagatelizują, wzruszają ramionami, zamieniają w żart. Nie podejmują poważnej rozmowy. Książka wywoła dyskusję w środowisku myśliwskim, bardziej lub mniej jawną. To wielka, stutysięczna społeczność. Są w niej bardzo różnorodni ludzie.

Otwarcie mówisz o tym, że zabiłeś wiele zwierząt. Jakie uczucia towarzyszyły ci, kiedy jako myśliwy strzelałeś do nich?



Fot. Piotr Morawski

Przypominam sobie uczucie, które nieodłącznie towarzyszy polowaniu, a wstydliwie nie jest ujawniane, ponieważ wiąże się bezpośrednio z aktem zabijania. Trwa krótko i jest intensywne – jest to poczucie ogarniającego całe ciało spokoju, gdy celnie strzelisz i zwierzę zwala się w ogniu strzału. Czasami w agonii miota się na śniegu, próbuje wstać... , pada... , czołga się... i znowu... Jego ciało zostawia na śniegu krwawe ślady. Myśliwi mówią: „pisze na śniegu”. Ostatni list. W końcu nieruchomieje. Koniec. I wtedy w całe ciało strzelającego wlewa się na moment poczucie wyraźnego spokoju. W życiu myśliwego ten akt jest ponawiany wciąż i wciąż na nowo.

Gdy zwierzę na twoich oczach po strzale padnie, to na tę chwilę, w tej sekundzie, czujesz się wszechmocny, masz poczucie całkowitego, absolutnego panowania – jesteś Panem Wszechmocnym. Jeśli darujesz życie i nie strzelisz, to też czujesz się Panem, tym razem Wielkodusznym. Zawsze wygrywasz. Ale... mniej więcej co piąta zadana śmierć związana jest ze ściganiem rannego zwierzęcia, dochodzeniem i dobijaniem poharatanego kulami, jeszcze żywego zwierzęcia. Trzeba patrzeć w gasnące oczy. I trzeba patrzeć na to z bliska. Dopiero wtedy musimy rzeczywiście zabić, uczestniczyć w tym w pełni. Widzieć, jak ostatnia kula w nasadę karku targnie poranionym ciałem zwierzęcia i jak uchodzi z niego życie. Takie polowanie, o którym do tej pory rozmawiamy, to jest polowanie wirtualne, podobne do gry komputerowej. Jesteś na ambonie, coś widzisz przez okienko, rozpoznajesz, składasz się, strzelasz i to „coś” znika. Idziesz za dwadzieścia minut na miejsce strzału i to „coś” leży – kawałek dalej lub w tym miejscu, gdzie dosięgła go kula. Ale to jest tylko ciało. Wcześniej nie idziesz, bo według niepisanej etyki myśliwskiej – trzeba dać zwierzęciu umrzeć. Moim zdaniem, rzeczywistym powodem jest to, żeby samemu nie widzieć śmierci. Bo to jest okropne i przejmujące do szpiku kości zdarzenie, kiedy ogląda się umieranie i śmierć. Tym bardziej wtedy, gdy się ją samemu zadało. Pojawia się również lęk – bo czyż można się nie bać tego, co się zabija?

Czy pamiętasz, dlaczego zacząłeś polować?

To nie był wyraźny, jednorazowy fakt w mojej przeszłości, to raczej cały proces. Wiesz, urodziłem się kilka lat po wojnie, w rodzinie... w ankietach pisałem: „robotniczej, matka nie pracuje”. Podziwiałem i kochałem ojca. Czasami się go bałem, czasami się go wstydziłem, na przykład wtedy, gdy się upił. Niekiedy strasznie go żalowałem – gdy przez kraty bramy nr 3 Stoczni Gdańskiej matka podawała mu zawiniątko z jedzeniem, bo musiał bez przerwy pracować i był bardzo brudny, zarosnięty i taki smutny. Tak bardzo chciałem mu wtedy pomóc. Żeby było mu dobrze, żeby nie był zmęczony i żeby nie musiał chodzić do stoczni. Gdyby to mogło zmienić jego los – oddałbym swoje dziecięce życie.

Bardzo chciałem, żeby on mnie kochał. I podziwiał! I jakoś wiedziałem, że gdy będę taki jak ojciec, to właśnie tak się stanie – też będę podziwiany i kochany. Przez ojca i przez wszystkich. Czy chłopiec może chcieć inaczej? W późniejszych czasach niby nie żyłem życiem ojca, miałem swoje sprawy, jakieś środowisko, przyjaciół, dziewczyny, żonę i rozwód. Zawsze ciągnęło mnie do lasu, nad wodę, na ryby, na grzyby. Łowiłem zapamiętałe pstrągi w pomorskich rzekach i szczupaki w jeziorach. Z ojcem spotykaliśmy się w domku myśliwskim – ja przyjeżdżałem na ryby sam lub z moją dziewczyną, a ojciec przyjeżdżał z kolegą na polowanie. Pomagałem im czasami, gdy trzeba było szukać rannych dzików, naganiać kaczki albo uprawiać kartofle. Zjadaliśmy złowione przeze mnie szczupaki i okonie, które smażyłem na żeliwnym piecyku – i tak sobota i niedziela mijały nam w lesie. Pewnego razu, w pierwsze upalne dni czerwca, przyjechałem motorem do domku myśliwskiego po raz pierwszy już ze

swoją dubeltówką. Miałem 28 lat.

Nie ma odpowiedzi na pytanie: „dlaczego zacząłem polować?”. Nie warto pytać. Wiesz, gdybym z moim życiorysem nie zaczął polować, pytanie mogłoby brzmieć: „Jak to się stało, że nie zacząłeś polować tak jak twój ojciec?”.

Skąd pojawiły się w tobie wątpliwości co do uczestniczenia w polowaniach?

Moje serce stawalo się wrażliwe bardzo powoli. Pamiętam, zabrałem na polowanie dziewięcioletniego syna. Strzelałem do dużego dzika, padł w ogniu strzału. Wiedziałem, że już się nie podniesie, nie żyje. Jovan siedział na ziemi cichutko obok mnie, prawdę mówiąc zapomniałem o nim, liczył się tylko ten dzik. I nagle patrzę na Jovana, a on płacze. Pytam go: „Dlaczego go płaczesz?”. Jego słowa zostały we mnie na długo: „Bo on tak przed chwilą sobie chodził, pił wodę, jadł, a teraz nie żyje”. To dziecko zobaczyło, jak jedna istota zabrała życie drugiej istocie. Przestałem polować w 1995 roku. Ale już dwa lata wcześniej zaczęło dziać się ze mną coś „dziwnego”. Najpierw zauważyłem, że coraz rzadziej jeżdżę na polowania, strzelam niechętnie, bez emocji.

Zacząłem wreszcie coś widzieć! Ale jeszcze niezbyt jasno – to było na razie wyraźniejsze przecucie. Pojechałem jeszcze na dwa polowania – w maju i lipcu 1995 roku. W maju strzeliłem do słonki. Pamiętam: wieczorna cisza, wszystko niezwykle znieruchomiałe i ciche, daleko na horyzoncie pojawia się jedna jedyna słonka. Jak zaklęta leci prosto nad moją głową. Podniosłem broń. Spadła na sosnę. Koledzy chwalać mnie za piękny strzał. A ja stoję odrętwiały. Martwy.

Lipiec, najważniejsze polowanie w życiu. Wieczór, jasno. Zobaczyłem dwie sarenki w niskim owsie. Patrzyłem na nie z przyjemnością, skryty za drzewem. I nagle z żyta obok wybiegają dwa psy i pędzą prosto na nie. Pierwszy raz w życiu strzeliłem do psa. Raz i drugi. Poczulem swoje ciało, ważyło tonę. Powiedziałem do kolegi, z którym polowaliśmy razem tego dnia: „Ja już nie będę polował. Zawieź mnie do domu”. Nie zaprotestował.

Wreszcie zobaczyłem wszystko. Całym sobą poczułem, jak strasznie dużo cierpienia zadałem innym istotom. Z najgłębszych źródeł we mnie usłyszałem – nie zabijaj. Nie rób tego. Bezgłośne, mocne – nie!

Czy książka ma obalić mity łowieckie, takie jak choćby ten, że myśliwy najlepiej reguluje populację zwierząt w lesie?

Wielu ludzi godzi się milcząco i z niesmakiem na to całe zabijanie, ponieważ poddani myśliwskiej indoktrynacji sądzą, że „nie ma innego wyjścia”. Po przeczytaniu tej książki, poczują ulgę – zrozumiałe staną się dla nich przyczyny owego osobiście odczuwanego przez nich niesmaku. Już nie muszą się na to zgadzać i nie będą czuli się bezradni, słuchając argumentów o „rozregulowaniu przyrody”, „zimowym dokarmianiu” czy o „braku drapieżników”.

Będą wiedzieli. Jeżeli weźmie się pod lupę koronne argumenty łowieckie, ujawnia się ich interesowna powierzchowność, nijak mająca się do tego, co w lesie i na polu widać gołym okiem. Wystarczy przestać wierzyć na słowo myśliwym i szeroko otworzyć własne oczy.

Czy dzisiaj łowiectwo ma jakąkolwiek rację bytu?

Właściwie nie wiadomo, co by się miało zdarzyć ze strony jeleni, dzików, zajęcy, dzikich gęsi, bażantów czy saren, gdyby ich nie zabijać. Czy zagrażałyby współczesnym ludziom w miastach i na wsiach? Nie znam badań naukowych, które wykazały niezbędną istnienie myślistwa w przyrodzie.

Spróbujmy przywołać w wyobraźni obraz przeciętnego myśliwego i zobaczyć go w lesie, z ostrą

bronią, strzelającego, później patroszącego sarnę, albo wwożącego do lasu przyczepę buraków cukrowych, pastewnych, kukurydzy, kalafiorów czy też kapusty. Gdy wyobrazimy sobie ten obraz lub zobaczymy go w rzeczywistości, odpowiedź brzmi: myślistwo nie ma żadnej racji bytu. Myślistwo jest niepotrzebne przyrodzie. Właściwie, komu jest potrzebne?

Czy jest potrzebne jako zachowanie socjologiczne? To przetarty szlak dla mężczyzn, konwencjonalny. Można poddać się tym zrutynizowanym i sztywnym sposobom życia wśród polujących mężczyzn. Jeżeli nie przekracza się tych wytyczonych ściśle reguł – mężczyźni w tej grupie mogą czuć się w miarę bezpiecznie. Wsiąka się w tę konwencję szybko, bo ma rozbudowany system wzajemnych gratyfikacji, są zwyczaje i tradycje, hejnały, hierarchia ważności, przywileje, ważniejsi i mniej ważni, władcy i poddani, myśliwscy bogacze i biedacy, ekstra polowania z oprawą dla myśliwskiej „szlachty” i biedne koła łowieckie, obowiązkowe składki, legitymacje ze zdjęciem, zezwolenia na broń, święta i dyplomy, nagrody, medale i zawody strzeleckie, jedzenie dziczyzny, zjazdy i bale, stroje, psy i samochody, duży rynek handlowy. Są lepsi i gorsi myśliwi, orły i ofermy, trofea i wyceny, wyścig i rywalizacja, państwowa struktura z władzami krajowymi, sądy łowieckie i wyroki, obwody łowieckie, domki i domy myśliwskie, dziczyzna na imieninowym stole. I to wszystko w całkowicie męskim towarzystwie, wśród kolegów połączonych milczącą zgodą, że będą tej konwencji przestrzegać i podporządkują się jej prawom. I jeszcze broń! Mogę mieć w domu broń – dubeltówkę, bocka, sztucer, kniejówkę, ekspres, flower – całą gamę różnorodnego, zabójczego żelastwa. Do tego specjalna szafa na broń i amunicję, amunicja do zabijania tego, tego i tego, skóry, poroża, szable, piórka, noże, pasy, lornetki, lunety, plamki, latarki, ubrania, piersiówki, buty, czasopisma, zezwolenia na odstrzał z odpowiednią pieczęcią, dokumenty. Broń się czyści, konserwuje, „trenuje z nią na sucho”, przestrzeliwuje, pokazuje i chętnie demonstruje innym. Do tego dochodzą weekendy poza domem – przecież poluje!

Gdy ogarnie się to wszystko, dopiero można zobaczyć, jaki to ciężki wór bagażu! Ileż różnego rodzaju kosztownych przedmiotów trzeba mieć i ile czasu ze swojego życia poświęcić na polowanie! Trzeba też na to wszystko zarobić i tak zorganizować sobie życie w rodzinie i w pracy, by polowanie było możliwe. Gdy mężczyzna postanawia zostać myśliwym, to ten specyficzny bagaż musi dźwigać on i jego rodzina. Przez całe życie. Gdyby ktoś chciał rozstać się z polowaniem, musiałby tego całego bagażu jakoś się pozbyć. Chyba łatwiej umrzeć!

A czy jest potrzebne społeczeństwu? Mam pewność, że dopóki będziemy zabijali zwierzęta – będziemy zabijali siebie nawzajem. Współczesne myślistwo jest obarczone wyjątkowym ciężarem – jest zabijaniem dla rozrywki. Ludzkość akceptuje to, że pewna jej część zabiera innym istotom życie w ramach hobby, czyli dla zabawy. No cóż, akceptuje również zabijanie innych, „obcych” ludzi. Nie rozumiem tego, rozpaczliwie tego nie pojmuję. We właśnie minionym wieku setki milionów normalnych ludzi zabiło setki milionów innych normalnych ludzi. Ta hekatomba robi się wyrazistsza, gdy zdamy sobie sprawę z tego, że dopiero w 1930 r. liczba ludzi na Ziemi przekroczyła dwa miliardy. To wzajemne, mordercze wyniszczanie trwa. Piąte przykazanie to wyschnięta na wiór, martwa atrapa – nie odnosi się do żadnych istot.

Czy kultura łowiecka uczy szacunku do przyrody? Myśliwi często podkreślają, że chronią przyrodę...

Myśliwskie „koronne argumenty” próbują przekonać ludzi, że zabijanie zwierząt wynika wyłącznie z konieczności. Że najważniejsze, to „hodowla”, „dokarmianie”, „regulacja”, że to z powodu braku drapieżników i że konieczna jest jakaś selekcja: „wedłu g mnie jesteś gorszy i dlatego cię zabiję”. „No... ta przyroda jest wspaniała..., a ten strzał to naprawdę ostateczność”. Każdy, kto choć trochę poznał to środowisko, miał okazję usłyszeć to całkowicie sprzeczne zdanie.

Gdy polowałem, spotkania ze zwierzętami, do których nie mogłem strzelić, nie budziły we mnie

emocji. Na chwilę zatrzymałem się, by popatrzeć na łanię z cielakiem, ale po chwili ruszałem dalej, bo szukałem rogacza – jego chciałem zabić! Skupiałem się, tak jak reszta, głównie na dzikach, jeleniach i sarnach. Myśliwi nie są w stanie zrobić nic dla ochrony gatunków, które są zagrożone wyginięciem. Na gatunki zagrożone wyginięciem się nie poluje, a to dla myśliwych oznacza, że są one poza ich zainteresowaniem. Najwyżej mogą nie zabijać jakichś zwierząt. Pamiętam, jak na Żuławach z roku na rok spadała ilość zajęcy. W dwudziestu myśliwych, w jeden krótki zimowy dzień, zabijaliśmy ponad sto szaraków. Potem, z upływem lat, zaczęło ich być coraz mniej. Zabijaliśmy czterdzieści, trzydzieści, dziesięć, pięć. Zdarzało się, że polowanie przerywano w połowie dnia. Z nudów, bo padł jeden zając na dwadzieścia strzelb. I co? Przestaliśmy polować w następnym sezonie? Nie! Nie przyszło nam to do głowy, bo liczy się tylko polowanie. A gdyby coś nas tknęło w sprawie zaprzestania polowań, to co moglibyśmy zrobić, aby zahamować spadek liczby zajęcy? Nic! I dlatego chodziliśmy przez pół dnia za jednym zającem. W gruncie rzeczy przeczuwaliśmy też, że to, czy będziemy, czy nie będziemy ich zabijać, niczego nie zmieni. Byliśmy bezradni. Zajęcy będzie coraz mniej. Trzeba poczekać kilka lat, to potem będzie więcej. „Samo się zrobi”, bo to jest przyroda – i na to liczyliśmy, na cud natury. I tak się stawało – z latami zabijaliśmy dziesięć, dwadzieścia... Ale już nigdy sto. Ostatniego tura też ktoś zabił na polowaniu. Gdyby zdjąć embargo na odstrzał wilków – już po nich!

Pewnego razu, w maju, siedzieliśmy wieczorem przy ognisku. Śpiewały ptaki – głównie kosy. Jeden z mężczyzn zapytał: „Ty, a co to za ptak tak śpiewa?”. Chodziło o pospolitego kosa. Mężczyzna, który pytał, był myśliwym. Czy ludzie z taką świadomością przyrody mogą coś dla niej zrobić? Ten człowiek usłyszał śpiew ptaka i zapytał. Teraz wie. Ilu myśliwych „nie usłyszy nawet kosa”?

Odnoszę wrażenie, że większość myśliwych ma żenującą wiedzę przyrodniczą. W czasie, gdy chodziłem na kurs dla kandydatów na myśliwych, w programie nie było nawet okrucha wiedzy o wzajemnych współzależnościach i związkach w przyrodzie. Po co?! Zresztą, który z grona wykładowców byłby w stanie podjąć taki temat? To jest przecież kurs dla przyszłych myśliwych! Regulamin polowań, zwierzyna łowna, pies, broń, prawo łowieckie, ambony, statut – to były ważne tematy.

Potem, już jako myśliwi, szliśmy z gładką i ostrą bronią do lasu i na pola, aby „utrzymywać równowagę przyrody”, „regulować populację”, „zastępować drapieżniki”, „selekcjonować”, „gospodarować zwierzyną łowną” i „dokarmiać”.

Łowiectwo to spory biznes. Pewnie na własne oczy widziałeś, jacy ludzie polują. Czy to prawda, że myśliwymi są ludzie elit, którzy podczas łowieckich spotkań załatwiają różne interesy?

Polują naprawdę różni ludzie, to przekrój całego społeczeństwa, a są w nim także elity. Lobby myśliwskie to bardzo poważna siła polityczna, skutecznie działająca na rzecz swoich interesów w imię wspólnej rozrywki. Ma bardzo mocne, głębokie powiązania, które są subtelnym, niewidzialnym, ale wręcz stalowym spoiwem tej społeczności. W Polsce, w czasie trwania kadencji sejmu 2001-2005 co szósty senator lub poseł był myśliwym. Wyobraźmy sobie, że taki myśliwy jest radnym, posłem, senatorem czy też ministrem w jakimkolwiek układzie politycznym. Co się zdarzy, gdy jakaś sprawa zagrażająca w jakikolwiek sposób myślistwu trafi na jego biurko? Innymi słowy: co się zdarzy, gdy coś lub ktoś zagrozi temu, co jest mu najbliższe i najdroższe?

Pewien bardzo wówczas wpływowy minister, na posiedzeniu rządu dotyczącym parków narodowych, walczył jak lew o zmianę w projekcie ustawy wyrażenia „opinia” na „zgoda samorządów lokalnych”. Wywalczył! I premier nakazał wpisanie takiej zmiany do projektu ustawy. O co tu chodzi? O Puszczę Białowieską, w której ów człowiek ma leśny dom i właśnie tam poluje. Pozostawienie słowa „opinia” przybliżyłoby objęcie całej Puszczy prawami parku narodowego. Oznaczałoby to, że w ostatnim

pierwotnym lesie na całym niżu europejskim, w Puszczy Białowieskiej, wyniszczanej od lat dwudziestych minionego stulecia przez Niemców i Anglików, a w obecnych czasach wyniszczanej z jakąś taką ponurą zaciekłością przez państwowe (!) przedsiębiorstwo, skończyłoby się wyrzwanie drzew i zabijanie żyjących tam zwierząt. Nie ma polowań! Wpisanie słowa „zgoda” do tej ustawy pozwala robić to w Puszczy Białowieskiej jeszcze przez wiele lat, bo łatwiej wywierać naciski na samorządowe władze lokalne, od których akceptacji, w takiej sytuacji prawnej, wiele zależy. W wyniku zapisu w ustawie, na losy tego reliktoowego lasu wielki wpływ mają władze trzech puszczańskich gmin i Administracja Lasów Państwowych, która wyrzyna tam rocznie i wywozi grubo ponad 100 tysięcy metrów sześciennych (!) kłód różnych drzew. Żeby wywieźć taką masę drewna, z częstotliwością co dwadzieścia minut, różnymi drogami, wyjeżdża z Puszczy wielki pojazd załadowany „pod sufit” pniami.

„Dziedzictwo Ludzkości” – taki napis widnieje nad bramą niedużego obszaru ochrony ścisłej w Puszczy Białowieskiej. Ironia czy co? Indianie mówią: „Wskocz w jego buty”. Gdybym był w sytuacji tego ministra – właśnie tak bym postąpił, ponieważ nie chciałbym tego całego, naprawdę poważnego zamieszania w życiu, związanego z poszukiwaniem nowego łowiska, sprzedażą jednego domu, szukaniem lub budową drugiego, przeprowadzką, poznawaniem nowych ludzi w kole łowieckim. O nie! Tylko nie to! Walczyłbym jak tygrys. Myśliwi na każdym „stołku” wiedzą, jak chronić swoje interesy. I nie muszą toczyć narad, ustalać strategii, podpisywać porozumień – wiedzą „sami z siebie” i w jednej chwili, co trzeba robić, ponieważ te sprawy dotyczą najbliższej ich ciała koszuli.

Polują niemal sami mężczyźni. Jak myślisz, dlaczego tak jest? W swojej książce publikujesz rozmowy z żonami myśliwych – jakimi refleksjami dzieliły się z tobą?

Polują mężczyźni, bo są fizycznie więksi i silniejsi od kobiet. Ale widziałem też ładną, uśmiechniętą, zadowoloną kobietę z zakrwawionymi rękoma przy patroszeniu sarny. Lecz przyznać trzeba, że to rzadkość. Całe szczęście niewielu kobietom robi się taki niezrozumiały „przekręt” w głowie. Niektóre z nich obecne są w myśliwskim sposobie życia w inny sposób, inaczej wspierają myślistwo.

W jaki sposób?

Widzę ważny, wspierający myślistwo udział kobiet. Żony myśliwych mają na stole dziczyznę, robią uczyty imieninowe czy inne. Czują się wtedy lepsze od innych kobiet. Wiem to z ich relacji. Są również, tak jak wielu innych ludzi, uwiedzione przez tę przebogatą retorykę myśliwską. Pewnie też odzywa się w tym jakiś kobiecy atawizm, zgodnie z którym poczucie wartości samicy wzrasta, jeżeli została wybrana przez samca zwycięzcę. „Zwycięzcę”, ponieważ w tej konwencji przyjmuje się, że gdy zakatrupieś z karabinu jakiegoś zwierzaka – „jesteś gość”. Kobiety dając takie potwierdzenie swoim męskim partnerom życiowym – współuczestniczą w reperowaniu, nienajlepszego zazwyczaj, męskiego samopoczucia. Grają w jego grę, przyjmują nie dla nich napisany scenariusz za swój – i wierzą w niego, jakby był ich. Znam kobietę, która zorganizowała to hobby mężowi, była reżyserem wszystkiego. Zbudowała nawet paśnik, który on miał postawić w ramach wymogów podczas stażu myśliwskiego.

Myśliwi chcieliby być widziani przez kobiety jako osoby bardziej męskie, obdarzone szczególnymi umiejętnościami, których inni nie mają. Roztaczają wokół siebie aurę, że umieją robić coś, czego wielu mężczyzn nie potrafi, że trzeba być naprawdę nie byle kim, takim „stuprocentowym facetem”, żeby polować. Chcieliby także, żeby kobiety ich za to podziwiały, co jest dosyć ryzykowne, bo znam kobiety, dla których fakt, że mężczyzna jest myśliwym, dyskwalifikuje go w ich oczach. Myśliwi chcą być postrzegani jako tak zwane jurne chłopy. Zapewne podobają się niektórym kobietom w tym maskującym stroju i odpowiednim kapelusiku na głowie, z karabinem na plecach i innymi gadżetami – terenowy samochód dobrej marki jest bardzo pożądany.

Mój ojciec nie żyje już ponad dwadzieścia lat, a moja matka niedawno powiedziała: „Tak naprawdę, to życie z myśliwym było marne. Pewna część pieniędzy, nie wiadomo jaka, szła na polowanie – na to zawsze się znalazły. Ojca prawie nigdy nie było w domu. Ja byłam ciągle sama i to nie było dobre życie”. Moja mama ma 84 lata. Nigdy do tej pory tego nie powiedziała.

Od kilku lat zaangażowałeś się w działania dla ochrony Puszczy Białowieskiej i ochrony drzew przydrożnych i miejskich. Dlaczego Twoim zdaniem warto chronić przyrodę?

Choćby dlatego, że jest piękna! Nie istnieje inne piękno na Ziemi. Jak można nie chronić piękna wszelkiego istnienia? Wczoraj koleżanka opowiadała o swojej miesięcznej włóczędze po Kubie. Tam jest brzydko, bo zniszczona jest przyroda. Lesistość 11% – kiedyś prawie 100%. Wszystko zostało wycięte dla założenia plantacji trzciny cukrowej. Wszędzie, gdzie zniszczona jest przyroda – jest brzydko, całe istnienie, łącznie z ludźmi, źle się tam czuje, choruje. Niszczenie przyrody, poszerzanie urbanistycznej brzydoty wokół nas, śmieci, niestaranność życia i jedzenia, plaga naszych czasów, czyli „niemanie czasu”, o której myślę, że jest jedną z głównych chorób cywilizacyjnych, degenerujących życie na wszystkich poziomach – to wszystko razem wzięte, ma dramatyczny wymiar. Źródło tej hekatombi bije wewnątrz każdego z nas i każdy z nas ma w tej osobistej, intymnej sprawie coś poważnego do zrobienia. To nie jest jakaś mała gra – w tej najważniejszej grze naszego życia chodzi o najgrubszą zwierzynę!

Nauczyciele duchowi mówią, że wszystko jeszcze jest możliwe, naprawdę nie wiadomo w jakim kierunku to się potoczy. Jest takie powiedzenie: „Nawet na dzień przed końcem świata warto zasadzić drzewo”. Sensei Sunya Kjolhede opowiedziała kiedyś anegdotę, która kilka razy wydobyła mnie z przygnębiającego zniechęcenia:



Zenon Kruczyński

„Premier Winston Churchill u schyłku swojego życia został zaproszony na uroczystość do college’u, do którego w młodości uczęszczał i z którego został wydalony za brak postępów w nauce. Miał wygłosić mowę do młodych abiturientów. Gdy przyszedł na to czas, podniósł się ze swego miejsca i... długo milczał... W końcu chrapliwie przemówił:

— Nie poddawajcie się... nigdy!

Usiadł, ciężko oddychał...

Po paru chwilach wstał znowu, zrobił krok do mikrofonu i powiedział:

— Nigdy się nie poddawajcie!

I usiadł. To był koniec mowy”.

Dziękuję za rozmowę.

Zenon Kruczyński – ur. w 1950 r. w rodzinie myśliwskiej, podtrzymywał tradycję rodzinną przez kilkadziesiąt lat. Przestał polować w wieku dojrzałym. Obecnie, podążając ścieżką swoich wieloletnich zainteresowań i wykształcenia, zajmuje się prowadzeniem wraz z pracownią psychologiczną „Makami Nature” warsztatów rozwoju osobistego „Energia w działaniu” i autorskich warsztatów „Wgląd w relację pomiędzy ludźmi a zwierzętami”. Jest współpracownikiem Instytutu Psychoimmunologii w Warszawie. Czynnie zaangażowany w działania na rzecz środowiska. Ma żonę i dwoje dzieci. Wegetarianin, praktykuje zen.